



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie:

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie: rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5. rocznie rsr. 10.

Wydawca MICHAŁ GLÜCKSBURG.

EXPEDYCYA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Nowy-Świat Nr. 1250 (nowy 55).

W Cesarstwie Austriackiem we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80. W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartał. flor. 2 cent. 75; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół., kwartał. tal. pr. 3 sgr. 20.

ZJAZD PEDAGOGICZNY W KOŁOMYI.

I.

Przed rokiem czytaliśmy na tem miejscu sprawozdania ze zjazdu pedagogicznego w Krakowie; obecnie przypada nam znowu miły obowiązek podania do szerszej wiadomości niektórych szczegółów ze zjazdu w Kołomyi, tych zwłaszcza, które dla naszej publiczności nie zupełnie być mogą obojętne.

Zjazd kołomyjski nie może się równać z krakowskim: tam, w sercu, czy, jak chcą niektórzy, w skarbcu Polski, uczestnicy liczyli się na tysiące; tutaj, w miejscu od wszystkich ważniejszych punktów oddalonym, w zapadłym kącie kraju na Pokuciu, uczestnicy liczyli się za ledwie na setki. Lista, zamknięta w Lipcu, wykazywała 304 osób, między którymi, po odcięciu największej liczby 167 na nauczycieli szkół ludowych i wydziałowych, znajdowało się 62 nauczycielek, 37 nauczycieli szkół średnich i wyższych, 21 osób innych zawodów, 11 inspektorów okręgowych, 6 księży.

Rozwój i zasługi Towarzystwa Pedagogicznego Galicyjskiego zajmowały już nieraz łaskawe czytelniczki i czytelników *Bluszcza*, bądź w korespondencyach z Galicyi, bądź w sprawozdaniach z walnych zjazdów Towarzystwa, które corocznie w innym miejscu kraju odbywają się; nie będziemy przeto powtarzać tutaj na wstępie rzeczy znanych, a tylko zaznaczymy postęp działalności tegoż Towarzystwa w ciągu roku ostatniego, tudzież stan jego obecny. Szczegóły i liczby czerpiemy ze *Sprawozdania z czynności Towarzystwa Pedagogicznego, za czas od 10 Lipca 1880 do 10 Lipca 1882 r., podane przez Zarząd główny do wiadomości członków,*

na XVI walnem Zgromadzeniu tegoż Towarzystwa odbytem w Kołomyi, w d. 17, 18 i 19 Lipca 1882 r.

Zarząd Główny Towarzystwa mieści się we Lwowie, zmieniając się i uzupełniając podług wyborów, na walnych zjazdach dokonywanych; zarząd daje wyraz różnym wnioskom i uchwałom walnych zjazdów, referuje je „petycyonuje“ i popiera u władz odpowiednich, wybiera ze swego grona kommissyą rachunkową, administracyą „Wydawnictw“, administracyą i redakcyą „Szkoły“. Przez 5 lat ostatnich redagował „Szkołę“ znany pisarz p. Luc. Tatomir; w r. b. objął redakcyą p. Bolesław Baranowski, inspektor szkół ludowych we Lwowie, człowiek niepospolitego wykształcenia i zdolności pisarskich, tudzież najzaciewniejszych dążeń humanitarnych i obywatelskich. Niema wątpliwości, że taki redaktor potrafi ożywić zbyt monotonna dotąd „Szkołę“.

Tegoroczne czynności Zarządu, z polecenia ostatniego walnego zjazdu, były dość rozległe, — najwydatniejsze są dwie: doprowadzenie do skutku wystawy szkolnej przy zjeździe w Kołomyi, tudzież memoriał w sprawie zmiany ustaw szkolnych z r. 1872. Druga ta sprawa (o pierwszej pomówimy w osobnym artykule) dotyczy materialnego i moralnego bytu nauczycieli, a jako taka była i jest przedmiotem gorących rozpraw, na każdym walnym zjeździe Towarzystwa: nie wszyscy jeszcze nauczyciele ludowi znośnie uposażeni, dość podniesieni moralnie; Towarzystwo nie ustaje w petycyach, zabiegach, aby *modus vivendi* nauczycielom wywalczyć, aby więzy, krepujące ich w wielu jeszcze względach, rozluźnić. Usilność ta wzrasta wobec niepowodzeń: wiadomo albowiem, że zapał do spraw szkoły chłodnie od lat paru w sejmie i Radzie Państwa. Różne wnioski Towarzystwa, dotyczące pensyj nauczycieli, prawne go ich stanowiska, nadmiar pracy, programu szkolnego i t. d., podawane były sejmowi w różnych petycyach i memeryałach, częściowe odnosząc skutki. Niezaspokojone przedłożenia z osta-

tnich lat kilku stworzyły obszerny materiał, nad którym z polecenia ostatniego zjazdu pracowała kommissya z 10 osób, przez Zarząd główny powołanych, między którymi, obok członków zarządu (Gerstmana i Żwierkowskiego) byli dwaj inspektorowie okręgowi (Baranowski i Kerekjarto) trzej nauczyciele ludowi i trzej nauczyciele wiejscy. Kommissya ta rozważyła dawny memoriał Towarzystwa (z 1877 r.) porównała go szczegółowo z uchwałami ankiety (delegacyi) szkolnej, przez Wydział Krajowy 1880 r. powołanej, tudzież z licznymi wnioskami świeżo do zarządu przez pojedynczych członków jak i przez oddziały Towarzystwa podanemi; tak powstał memoriał, będący wyrazem potrzeb szkoły i nauczycieli galicyjskich, który z licznymi podpisami obywateli będzie do sejmu w roku bieżącym w jesieni podany. Spodziewać się należy, że sprawa ta przyjdzie pod obrady, skoro Wydział Krajowy ze swej strony ma przedstawić wnioski na podstawie delegacyi szkolnej *ad hoc* powołanej, opracowane; spodziewać się także należy zainteresowania się sejmu tą sprawą, skoro zasiadają tam ludzie dzielni i dobrze obeznani z potrzebami szkoły, jak na przykład Tadeusz Romanowicz, poseł miasta Lwowa, publicysta i czynny członek w zarządzie Towarzystwa Pedagogicznego.

Jedną z najwybitniejszych zasług, którą Towarzystwo na wstępie zaraz położyło, jest wpływ na kształcenie kobiet, przez zakładanie szkół wyższych żeńskich, przez odczyty publiczne dla kobiet we Lwowie; zasługa jest dwojaka: bezpośrednia i pośrednia. W miarę jak pod tym bodźcem kształcenie kobiet w Galicyi podniosło się, Towarzystwo mogło ustępować z tego pola, uważając zadanie za skończone; ustąpiło jednak tam tylko, gdzie działanie swoje za zbyt skuteczne uznało. Cztery szkoły żeńskie: w Jarosławiu, Rzeszowie, Stanisławowie i Tarnowie zwinęły, gdy tamże pozakładano szkoły wydziałowe miejskie; natomiast utrzymuje (przy subwencyi Wydziału Krajowego) szkoły

w Kołomyi i Stryju, a poczyniło skuteczne kroki celem założenia jednej jeszcze takiej szkoły (7-mej z rzędu) w Sanoku. Odczyty urządzone nie przez Zarząd, ale przez oddział Lwowski Towarzystwa nie mają już wprawdzie tego znaczenia dla kobiet, co dawniej, mimo to jednak powtarzają się corocznie, podobnie jak w Warszawie odczyty na korzyść Towarzystwa Osad Rolnych, z tą jednak różnicą, że tam obcych nie sprawdzają proroków. Mamy pod ręką wykaz 12 odczytów z ostatniej zimy; sądzimy, że nie będzie bez interessu dla czytelniczek wymienić je tutaj. Professor Fr. Próchnicki 2-a odczyty *O Panu Tadeuszu*; Dr Fr. Kamiński 1-n odczyt *O drożdżach i drożdżeniu*; Dr Tad. Żuliński 2-a odczyty *O znaczeniu higieny w wychowaniu domowem i szkolnem*; Dr Józef Żuliński 1-n odczyt *O tak zwanych roślinach mięsożernych*; Dr Ig. Petelenez 2-a odczyty *O robakach*; Inspektor Bol. Baranowski 1-n odczyt *Z etnografii*; Dr. Tom. Stanecki 1-n odczyt *O przepowiadaniu stanu pogody*; pani Fel. Boberska 1-n odczyt *Zygmunt August i niektóre znakomitości jego czasu*; Radea Zyg. Sawczyński 1-n odczyt *Z pedagogiki*. Widzimy, że wykłady te nie stanowiły organicznej całości, ani też grupowały się około jakiegoś kierunku, że już nie mówimy gałęzi, wiedzy, jak to np. rzecz się ma z odczytami w Resursie Kupieckiej w Warszawie; nie ciągniono też na katedrę najwybitniejszych autorytetów. Co kto miał na pogotowiu, z tem wystąpił, przytem prelegenci zostawiali sobie swobodne pole, dając zbyt ogólne temata. Dla przykładu dla Warszawy, która nie może się zdobyć na takie odczyty, podajemy cenę, która wynosiła 2 zlr. 40 centów za 12 odczytów; członkowie Towarzystwa Pedagogicznego płacili połowę tego, co czyniło 10 centów za jeden odczyt.

Posunąwszy naprzód sprawę średniego i wyższego kształcenia kobiet, Towarzystwo znalazło nową niwę do uprawy, na której drugi rok dopiero działając, poszczycić się już może uznaniem i skutecznością pracy; od 1880 r. Towarzystwo założyło 4 szkoły przemysłowe w Jarosławiu, Przemysłu, Rzeszowie i Tarnowie, w których pobierało nauki blisko 700 uczniów. Sejm udziela subwencji po 500 zlr. na szkołę. Czynią się starania celem założenia piątej takiej szkoły w Stanisławowie.

W innym może artykule ocenimy „Wydawnictwa“ Towarzystwa, których poważna cyfra 104 powiększyła się w roku bieżącym o 15 — jest ich więc wszystkich 119; między niemi najobficiej powiększa się, w roku przeszłym rozpoczęta, *Biblioteka dla młodzieży*; jest ona pożądana bardzo wobec zupełnego prawie braku podobnych książek w Galicyi. Do istniejących już 4-ch tomików przybyły 4 nowe: tomik V i VIII, Bąkowski *Obrazki z życia zwierząt*; tomik VI, Iwan z Berłoch *Jak dąży do bohactwa*; tomik VII, R. Starkel *Szanuj ojców spuściznę*. Z innych wydawnictw zasługują przede wszystkim na uwagę i na osobny rozbiór w *Bluszczu*, wywołana staraniem i wydana nakładem Towarzystwa, broszura Dra Tadeusza Żulińskiego: *Roboty kobiece szkolne ze względu higieniczno-pedagogicznego*; tutaj autor występuje w obronie wzroku i żąda zmiany planu w robotach kobiecych, skutkiem czego Zarząd powołał komisję z ludzi fachowych, do zajęcia się tą sprawą; wnioski tej komisji będą bezpłatnie rozpowszechnione.

Pomijając drobniejsze prace Zarządu Towarzystwa, zauważyć musimy, że jak w ubiegłym roku zabierał on głos w sprawie szkół średnich, będących na porządku dziennym (*Sprawozdanie z czynności komisji Zarządu Główn. Tow. Pedag., wydanej do rozpatrzenia spraw szkół średnich*, ułożył Dr Karol Benoni, Lwów, 1881 r.); tak w bieżącym przyjął choć pośredni udział w ożywionych dysputach w tej materii, zakupując i rozpowszechniając pomiędzy profesorami i posłami z dodaniem odpowiedniej odezwy broszurę Dra Zyg. Samolewicza p. t.: *Uwagi nad sprawozdaniem komisji Akademii Umiejętności w Krakowie o reformie szkół średnich*.

Towarzystwo, złożone z 41 oddziałów z 74 kółkami pedagogicznymi, liczy 2.743 członków. Niektóre oddziały są wprawdzie bezczynne, sprawozdań nawet ani wykazów na czas nie przysłały; inne natomiast zbierają się na posiedzeniu, odczyty i rozprawy, urządzają wieczory literackie

(w Mielecu, Przemysłu, Stanisławowie), odczyty dla publiczności (we Lwowie, Jasle, Zbarażu) i wykłady dla ludu (w Grudku, i Komarowie), prenumerują czasopisma, powiększają bibliotekę. Niektóre oddziały pomagają czynnie kształcącej się młodzieży, zwłaszcza z domów nauczycielskich pochodzącej, utrzymując dla niej bursy w Krakowie, w Drohobyczu (bursa imienia Kraszewskiego) w Tarnopolu. — Naliczyliśmy 282 odczytów, wykładów i rozpraw, które miały miejsca na posiedzeniach oddziałów i kółek pedagogicznych; odnosiły się one najczęściej do metody w szkole początkowej (najwięcej wykładów było o nauce czytania); były atoli i wykłady ogólniejsze, mogące wpłynąć, nietyłe już na kształcenie metody, ile na kształcenie samych nauczycieli (O kształceniu estetycznem, O Mickiewiczu, Słowackim, Konarskim, Krasickim, Estkowskim, Urszule Kochanowskiej i t. d.). Jeżeli do powyższych odczytów dodamy wypowiedziane nazewnątrz, do publiczności i do ludu, wypadnie nam pokaźna liczba trzyestu kilkudziesięciu odczytów, której nie potrzeba komentować.

II.

Szesnaste walne zgromadzenie Towarzystwa Pedagogicznego naznaczono w Kołomyi na dzień 17, 18 i 19 Lipca. Zarząd wyjednał zniżenie ceny biletów kolejowych do połowy; zapowiedziano pociągającą zbiorową wycieczkę pedagogów po zjeździe na Czarnohorę; wszystko to zachęcająco wpływać musiało, zachęciło nawet kilku pedagogów i dziennikarzy z Królestwa, tych zwłaszcza, którzy Wschodniej Galicyi dotąd nie widzieli; zachęciło tem więcej, że Towarzystwo serdecznie bardzo nieczłonków w charakterze gości podejmuje. Nie będziemy tutaj wykazywać korzyści, jakie z takiego dorocznego gromadzenia się nauczycieli coraz w innym miejscu wypływają; nadmienimy tylko, że odnoszą je zarówno nauczyciele jak i ludność miejscowa, najwięcej zaś w tym względzie, że poznają się bliżej, — a więc droga do wzajemnego szacunku i miłości; że zbliżają się różne żywioły tak w łonie nauczycieli jak i ludności, — a więc droga do zgody, harmonii, rozumnie pojętej jedności obywatelskiej; że nauczyciele poznają kraj rodzinny, doznają serdecznej gościnności, — a więc przywiązują się więcej do kraju tego, do swego zawodu, skoro widzą sympatyę, uznanie ze strony ludności. Jednym słowem, wyrabia się i wzmacnia stan, który jest wprawdzie „najbiedniejszy z biednych“, ale jest też i najbardziej wpływowym z wpływowych. Zjazdy podobne jak w Brodach, Kołomyi, gdzie inteligentny element polski występuje w mniejszości; uroczyste stawianie tam pomników Korzeniowskiemu i Karpińskiemu, nie mogą być bez znaczenia i wpływu na różnolitą a ciemną lub uprzedzoną czy sfanatyzowaną ludność miejscową.

Mała część zaledwie mieszkańców Kołomyi zainteresowała się mogła bliżej zjazdem; bo i jakby mogło być inaczej, gdyby z 20.000 ludności tego miasta, przeszło 10.000 wypadła na Żydów, 4.000 na Rusinów, 1.000 na protestantów, pozostaje więc zaledwie 5.000 na ludność polską wyznania rzymsko-katolickiego: mimo to przecież, wszystkie inteligentniejsze jednostki, bez różnicy wyznania i narodowości, śpieszyły wziąć udział w sprawie ogólnie-obywatelskiej.

Na kilka dni przed rozpoczęciem zjazdu ruch był w Kołomyi skutkiem przyrządzania dwóch wystaw: dziennikarskiej i pedagogicznej; ruch ten powiększył się w dniu 16 Lipca, gdy uczestnicy zjazdu zaczęli częściowo ukazywać się w murach miasta. Komitety a zwłaszcza kwaterek, rozmieszczając gości po obywatelach lub gmachach szkolnych, rozwinęły w ostatniej chwili niezwykłą energią. Komitet dekoracyjny działał gorączkowo na dworcze kolei, strojąc go w herby, festony i flagi różnokolorowe. Wieczorem miasto całe pociągnęło w stronę kolei. Dworzec i peron oświetlono całymi rzędami latarni i pochodni; wystąpiła muzyka miejscowa i straż pożarna. O godzinie

10-ej nadszedł pociąg, wiozący ode Lwowa setki nauczycieli. Burmistrz miasta, Dr Trachtenberg, Izraelita, powitał prezesa Towarzystwa, p. Sawczyńskiego. Ustawiła się, przybyła ze Lwowa, „Harmonia“ i dwie muzyki zabrzmiały melodyami narodowymi. Znany ze swego kierunku dziennik rusiński *Diło* mówi, że na licach przyjezdnych po większej części zbiedzonych, zmęczonych drogą, a więcej pewnie całoroczną nie do pozazdroszczenia pracą nauczycielskiego zawodu, nie można było dostrzedz entuzjazmu. Rzeczywiście i myśmy tego wszystkiego nie mogli dostrzedz w tłumie przyjezdnych mimo oświetlenia; była to bowiem spóźniona pora, a wieczór skutkiem zapowiadającej się burzy, był bardzo ciemny. Podwoje dostarczone bezinteressownie przez kolonistów niemieckich, z przedmieścia Babinsberg i Sławce, rozwiozły gości po wyznaczonych kwaterek; pozostali pociągnęli z pochodniami i muzyką do miasta.

W Poniedziałek rano odbyły się jednocześnie nabożeństwa w kościołach obrządku rzymskiego i greckiego, następnie rozpoczęło się posiedzenie w pawilonie b. wystawy w ogrodzie miejskim „Zacisze“. Burmistrz Trachtenberg powitał zgromadzonych imieniem miasta.

(Dalszy ciąg nastąpi).

BEZWIEDNA MIŁOŚĆ

NOVELLA.

(Dokończenie).

Daruj, czytelniku, że tak bez przygotowania prowadzę cię z poleskiego zacisza nad Bengalską zatokę do Kalkuty. Szczupłe ramy naszego opowiadania nie pozwalają na obszerną charakterystykę tego ogniska handlu Europy i Azji. Wspañiałe pałace mieszają się tu w nieładzie z ubogimi lepiankami; z pośród tego chaosu wyskakują smukłe minarety meczetów i krzyże chrześcijańskich kościołów. Nad brzegiem Gangesu domy ocienione olbrzymiami palmami, a po wodach świętej rzeki rozkładają się liście i kwiaty lotosu. Wśród tego czczonego przez Indusów kwiecica w górę rzeki posuwa się mały statek.

Na pokładzie, wsparty na stucerze, stoi mężczyzna w myśliwskim stroju. Jakże ma piękne oblicze. Rysy nie odznaczają się wprawdzie regularnością, ale któż może o tem myśleć, spojrzawszy w te mądre głębokie oczy i na te czoło odkryte w tej chwili? To czoło zdaje się być siedliskiem tylko wielkich i dobrych myśli. W tej chwili pokrywa je cień smutku. To Wacław Zahorski. Wzrok jego spoczywa na pysznym tygrysie, trafionym wprawną ręką w samo serce. Wspaniały zwierz, przed godziną może, pełen jeszcze siły i życia, przedzierał się elastycznymi skokami przez liany wiążące banany i palmy, a teraz tarza się tu w prochu, u stóp swego zwycięzcy. Na twarzy jednak tego ostatniego nie widać radośnego tryumfu. Nie jest on wolnym od pewnej szlachetnej dumy, że inteligencją i zdolnością pokonał dzikiego i stokroć silniejszego nieprzyjaciela; cieszy się złamaniem siły brutalnej, jakby widział w tem pocieszającą nadzieję dla wszystkich ucisnionych.

Pomimo to jednak szlachetne te rysy nacechowane są dziwną melancholią.

Pomimo świetnego powodzenia, pomimo szacunku cudzoziemców, a miłości rodaków, którymi się tu opiekuje, tęskni coraz bardziej za rodziną, za krajem, a, powiedzmy prawdę, za Helą także. Oderwał wzrok od nieżywego tygrysa, utopił go w przestrzeń, jakby chciał w niej dopatrzeć to, co tak żywo rysuje mu się w jego pamięci. Olbrzymie mangosy i tamaryndy, przybierają w jego wyobraźni skromną postać ojczystych dębów i sosen; zwieszające się z nich różnorodnie pnące się rośliny, przypominają mu wiotkie gałązki płaczącej brzozy. Świetnie barwy indyjskie kwiaty błędną przed jego zażawionem okiem, niby dzwonki i niezapominajki. Żywy rumieniec występuje mu

na twarz, na tle tej cichej przyrody, oczami du-
szy, Wacław widzi wdzięczną postać siostrzyczki
Heli, której nie znalazł równej, obiegłszy pół swia-
ta. Nagle czoło jego zachmurza się surowo, myśli
teraz, że nie wraca do kraju przez nią i cierpi
nad tem. Dla tego, że zawiodło go jedno serce ko-
bięce, ma wyrzec się nazawsze najświętszych obo-
wiązków względem kraju i rodziny i pozostać tu
nazawsze zwiększając i tak już znaczną fortunę?
Wprawdzie i tu pracuje dla dobra ludzkości i
nauki, ale są przecie obowiązki względem ziemi,
na której ujrzał światło dzienne, względem spo-
łeczeństwa, wśród którego zbiegł mu dziecinne
lata, — rodziców, którzy czuwali nad jego niemow-
łectwem. Powinien wracać — i wróci na pe-
wno. Ale nie zaraz jeszcze. Obraz Heli, tej
dzieweczki inteligentnej, kochającej, gotowej do
wszelkich poświęceń, zbyt żywo jeszcze wyryty
w jego sercu, aby w pobliżu jej mógł zachować
równowagę umysłu.

Może zmieniła się? może to całkiem już inna
istota, pospolita eleganka salonowa.

O gdyby tak było, bolałby jeszcze srożej, stra-
ciłby wiarę w ideał kobiecy, a to gorsze niżli oso-
bisty zawód!

Statek przybił do brzegu, przy północnej części
miasta, prawie na końcu jego, do przystani ładne-
go pałacyku; kamienne szerokie schody zstępowały
aż do samego Gangesu. Wacław wyszedł i ma-
rzący poszedł w głąb domu. Tam już paliło się
światło; przeszedł parę pokoi, zawieszonych obra-
zami, wyobrażającymi po większej części, miejsco-
we typy i bogatą wschodnią naturę. Trzeci, przy-
brany indyjskimi makatami, zarzucony stalugami,
księgami, mapami, manuskryptami, był praw-
dziwą pracownią myśliciela artysty. Zgromadził
tu najulubieńsze szkice, a nad stołem, przy którym
zwykł pracować, wisiał starannie wykonany
portret kobiety o rozumnych siwych oczach i słod-
kim uśmiechu. Była to Hela; portret musiał być
malowany z zamiłowaniem, nawet z miłością, bo
twarz ta, świecąca szlachetnym wyrazem, zdawa-
ła się należeć do anioła lub wieszczki. A była
tak pełną prawdy i życia, że wpatrzywszy się
w nią myślał, iż przemówi za chwilę.

Na stole paliła się lampa. Wacław stanął i pa-
trzał na obraz. Zmarszczki zaczęły się rozpra-
szać, oczy jaśniejszym strzeliły promieniem, usta
złożyły się do uśmiechu. Zawołał głośno: Nie! ta
twarz nie kłamie, duch mówiący przez te oczy
może tylko doskonalić się. A że mnie nie kocha,
— dodał smutnie, to nie jej wina. Pochylił głowę
i stał tak długo. Oczyma błędził po stole.
Nagle spostrzegł dwa listy, które służący w czasie
jego nieobecności przyniósł z poczty. Wziął je
do ręki: z kraju, i to jeden zaadresowany przez
Helę! Przetarł oczy, zdało mu się, że marzy, po-
tem rozdarł gwałtownie kopertę. Tak, to od niej;
w sto lat poznałby jej pismo. Potem zasmucił
się. Może wychodzi za maż i zawiadamiając o tem
krewnych, jego pominąć nie chciała; bo cóż innego
mogło ją skłonić do pisania po tak długim mil-
czeniu? Po chwilowem wahaniu się zaczął czytać.
Twarz wypogadzała mu się za każdym słowem.
Była to tasama Hela serdeczna kochająca, rozu-
mna a słodka. Usta jego spoczęły na podpisie, i
długo tulił do siebie zimny papier, aż ogrzał go
swem tchnieniem. Schował list przy sercu i roz-
począł szybką wędrówkę po pokoju.

— Ona kocha mnie! kocha, — myślał uszczęśli-
wiony. Kocha mnie, ale jak brata tylko... A ja...
Boże! przebac mi, kocham ją jak szalenię, wię-
cej niż wszystkie siostry razem kochać można.
O! tak zawsze kocham ją nad życie, nad wszyst-
ko, — zawołał głośno i wyciągnął ręce przed sie-
bie. Nagle szczęśliwa myśl przebiegła mu przez
głowę. Ale ona wymawia mi, że nie odpisałem na
jej list ostatni, więc nie odebrała mego wyznania.
Co to za list drugi? także z kraju, może z niego
dowiem się bliższych o niej szczegółów.

Był to list brata. Czytał i czytał, czoło chmu-
rzyło mu się groźnie chwilami, to znów czuł wiel-
ką litość. Aż doszedł do końca, w którym Józef
pisał: „Jeżeli trwasz w swym zamiarze, przyjeżd-
żaj prędzej. Helena powiedziała mi dzisiaj, że
gdybyś nie był jej bratem i mieszkał tu w kraju,
kochałaby się w tobie gwałtownie. Ja jednak
rozumiem ją lepiej i przekonany jestem, że cię ko-

cha nie tylko jak brata, i dla ciebie odmawia
wszystkim starającym się o jej rękę“.

— O! bądź błogosławiony za te słowa; za nie
przebaczam ci wszystko chętnie i kocham cię znów
jak brata.

Zamyślił się długo.

— Tak, muszę jaknajprędzej wracać do kraju.
Interessa ukończę za parę tygodni, chorym rodakom
zapewnię dożywocie, zostawię ochronę mego
imienia i kapitał na jej utrzymanie, na pamiątkę
mego tu pobytu. Nic nie pisząc, zjawię się nie-
spodzianie między swemi. Tylko żywo. I nie
myśląc spać tej nocy, zabrał się do porządkowa-
nia papierów.

I znów jesteśmy w Zapolu. Jak ono smutnie
teraz wygląda! Kwiaty przekwitły, liście opadły
z drzew.

Listopad, najbrzydszy miesiąc w naszym kraju.
Deszcz i błoto, śnieg i mróz, zmieniają się cochwila.
Ołowiane niebo, jakby z litości nad ziemią, jej
nędzę i brzydotę, zniża ku niej obłoki brzemienne
łzami, i okrywa ją czasem mgłą nieprzejrzaną.

Ludzie odwracają się od zeszpeconej przyrody
i kryją się w domach.

Helena, wbrew ogólnemu upodobaniu, lubi zwy-
kle tę porę roku. Zająć jej gospodarskie redukują
się teraz do wydawania dyspozycji, słuchania rap-
portów i sprawdzania rachunków domowych i go-
spodarskich. Wszystko to razem zabiera jej le-
dwie parę godzin czasu.

Goście rzadko bywają z powodu złej drogi, i
niemiłego powietrza. Dużo ma czasu na studia
naukowe. Wieczorem schodzi się z rodzicami; za-
siadają koło kominka, czytając głośno lżejsze
utwory, lub gwarzając wesoło.

To ciche rodzinne życie ma dla niej urok nie-
zwykły, jest wychnieniem moralnem po gorączko-
wej gonitwie za zyskiem i blaskiem powierzchow-
nym. Teraz także siedzi w swym pokoju i czy-
ta, ale z twarzy wygląda jej smutek jakiś, czyta,
bez myśli o tem, dlatego tylko, aby zagłuszyć tę-
sknotę, która od jakiegoś czasu wkradła jej się do
serca i nie daje pokoju.

Pół roku jak pisała do Wacława, a do tej po-
ry nie ma żadnej odpowiedzi. Co to znaczy? może
chory? może zapomniał o niej, może zmienił cha-
rakter i dążności i wstydzi się jej teraz. O! Wa-
cław zdolny tylko do dobrego, on nie może zawieść
niczyjzego zaufania. Najpewniej chory. Myśl za-
jęta tylko jednym przedmiotem, wszystko inne
traktuje obojętnie. Studya, dawniej ulubione,
nudzą ją prawie. Odsuwa książkę z niechęcią i
patrzy przed siebie. Pierwszym przedmiotem,
który wpada jej w oczy, to éma walcząca za-
wzięcie z ostatkiem sił. Delikatna jej natura
nie znosi zimna; z trudnością porusza przeje-
rzyste, a jednak tak ciężkie teraz skrzydeł-
ka, podnosi się na długich cieniotkich nóżkach, bo,
chwiejąc się, upada ciągle. Długo, długo trwa to mo-
cowanie się, nareszcie owad pada wycieńczony, nie
żyje. Hela bada go uważnie, poruszył żądełkiem,
żyje! Ostrożnie pomaga mu powstać. I znów
się zaczyna rozpaczliwa walka znikającego ży-
cia. Nareszcie éma przewraca się nawznak,
odrzucone nóżki tworzą gwiazdkę, delikatne żą-
dełko porusza się zaledwie...

Ta agonია owadu sprawia jej niewypowiedzianą
przykrość. Wstaje od biurka i zbliża się do
okna. Poza niem także śmierć i zniszczenie.

Mgła nie przepuszcza dalej wzroku, a tu ogoło-
cone drzewa, pożółkłe trawniki, kwiatów ani śla-
du. Ach! bratek jeszcze kwitnie, podnosi w górę
świeżą umytą deszczem twarzyczkę i tęsknie pa-
trzy w chmury; promień słońca go porzucił: czy
powróci jeszcze, — czy też zginąć musi, wzwarzony
mrozem? Biedny kwiatku, smutno ci, a jednak
żyć musisz.

Och! wolę tę mgłę pod konarami drzew, niż
przez te zapłakane okna. — Maryo! — woła przez
drzwi — daj mi kożuszek; wdziewa czarne baranko-
we futerko, takąż czapeczkę, bierze wiosło i wy-
chodzi.

— Gdzie panienska idzie?

— Popłynę.

— I kataru panienska dostanie.

— Nic nie zaszkodzi, przecież codzień wychodzę.

— Ale dzisiaj brzydko.

Nie słucha, idzie dalej, odczepia łódkę i płynie
w górę rzeki. Prąd wody opiera się jej, ale He-
lena, doskonała wiosłarka, przecina wodę czółnem
i postępuje dalej. To mocowanie się sprawia jej
przyjemność. Już jest parę wiorst od domu.
Wreszcie opanowuje ją znużenie; siada na dnie
czołna i opiera głowę o przegrodę. Prąd wody
zwraca łódkę, porywa, niesie jak strzałę. Biała
mgła tworzy alabastrowe skały z obu stron rzeki,
widać tylko same jej brzegi. Różowe pręty
łozy, ogołoczone z liści tworzą wdzięczne łuki nad
wodą. Dzikie róże kąpią brunatne listki; tylko
wytrwała olcha błyszczy zielenią, sosnowe igły
trzymają się prosto, a zawsze piękne paprocie
rozkładają się dołem.

Po wierzchu wody włóczą się niedbale wielkie
okrągłe liście wodnych lilji; kwiaty, dawno już
poszły na dno i tam śpią cicho, a może zamienione
w topielice pływają wesoło, w kryształowym pa-
łacu.

Gdyby się tam dostać do nich!...

Trzeźwa zwykle Hela marzy teraz na jawie.

Łódka pędzi jak szalona, mgła coraz grubsza
zapada, ciemności się zwiększają; Helena czuje
wilgoć na rękach i twarzy, zimno przejmuje jej
członki. Zdaje się jej, że leci w nieskończoną ja-
kąś głębię...

Nagle łódka zwraca się gwałtownie, silna ręka
wyciąga ją na brzeg. Helena podnosi się. — Wa-
cław! — Hela! I dwoje ust łączy się jednym po-
całunkiem, dwoje serc bije obok siebie.

St. Korczak.

MIŁOŚĆ WIEKÓW UBIEGŁYCH

STUDYUM Z PRZESZŁOŚCI

Maryana Dubieckiego.

(Dalszy ciąg, ob. Nr 27).

„Gdy mnie kto zapytuje — pisze ona, — pocóż
to wszystko, — ja mówię: serce, odpowiedz za
mnie... Serce moje, — dodaje tuż zaraz — nie
jest już mojem, jest Twojem; opuściło mię, Tobie
towarzyszy. „Cóż mam począć? Poradz mi“...
Ostatnie wyrazy zdradzają już pewną trwogę.
Eleonora, powodowana niewieścim instynktem,
widzi zbliżający się zdala maluczki obłoczek, któ-
ry rychło może kirową oponą burzy okryć widno-
krąg ich szczęścia i niczem dotąd niezamąconego
spokoju... Lecz nie tylko instynkt niewieści był
tu poważnym czynnikiem; prawda, która powin-
na przyswiecać we wszystkich, by najmniejszych,
badaniach, każe nam wyznać, iż Eleonora kresliła
przytoczone wyrazy już pod wrażeniem zbliżają-
cego się nieszczęścia. Rozległa się była wówczas
właśnie wieść, iż polskie skrzydlate rycerstwo
wraca do swych siedzib, do dalekiej Polski, która
dla ówczesnych Duńczyków była krainą nawpół
mityczną.

Dla obu stron zakochanych cios to był stra-
sny, a chwila nader stanowczą. Ponure wieści
dochodziły z Polski. Wschodnie jej ziemie zo-
stały wówczas najechane i szczupłe siły broniące
Rzeczypospolitej domagały się odsieczy. Najsku-
teczniejszą w danym razie odsieczą mienić się mo-
gły hufce pod Czarnieckim w Danii Szwedów
gromiące; górowały one, nie liczbą, ale wyższością
moralną. Odwołano więc je zpoza morza do
kraju. Pewna, maluczka cząstka owych „Czar-
nieczyków“ miała chwilowo pozostać na jednej
z wysp duńskich, pod wodzą Kazimierza Pia-
seczyńskiego, Starosty Ostrołęckiego, reszta zaś
naszych duńskich szyków wracała śpiesznie do
Polski. Na czele wracających dążył Czarniecki,
którego król powoływał, aby nim zasłonił oj-
czyznę. 1)

1) Kochowski: Climacter II.

Rozkaz powrotu do kraju stał się dla pana Paska gromem budzącym go z uspienia. Sny na jawie, marzenia wielkiego uczucia, wobec rzeczywistości prysnęły. Potrzeba było obrać jedną z dwóch dróg: wracać do kraju, iść za głosem obowiązku, który nad wszelkimi względami powinien górować, lub, zdala od swoich pozostać; połączyć swe losy z losami ukochanej, przyjąc tę rękę, ofiarowywaną mu poniekąd nawet natarczywie, zagłuszyć w sobie głos obowiązku, obojętnie patrzeć na szerzenie się obcego pierwiastku we własnym gnieździe, na wychowywanie przyszłych pokoleń pod cudzoziemskimi wpływami. P. Pasek nie rozumował, ale instynktownie niejako odgadywał, że pierwiastek obcy, do swojskiego gniazda wprowadzony, zamąci równowagę atmosfery, wśród której on ma nadal istnieć, a co ważniejsza, stanie się zgubnym czynnikiem rozwoju przyszłych pokoleń. Uczucie tymczasem górę brało, walczyło z rozumą i wtedy to właśnie Pasek wyrzekł, iż się pasował z myślami „jako z niedźwiedziami“. Pasowanie się tem przykrzejszem było, iż piękna córa północy kochała go miłością wielką, stałą, głęboką, nieprzypominającą uczucia rasy germańskiej, o którym w owej epoce pisał Jędrzej Morsztyn, mieniąc je martwym uczuciem: „Ta (t. j. niemiecka) zimna miłość i jakby umarła...“¹⁾ Uczucie Eleonory wcale nie zasługiwało na powyższe miano; posiadało ono dodatnie znamiona skandynawskiej miłości — stałość do grobu i za grobem, jej właściwości, jej hasło niezmiennie... „O gdybyś, panie, — pisała ona w tych chwilach stanowczych, — gdybyś mógł czytać w sercu mojem te dowody moich uczuć ku tobie! Wyznaję teraz, com długo tała, że dla żadnego mężczyzny, prócz ciebie, panie, serce moje bić nie będzie. Musi to pochodzić z woli boskiej...“ W słowach tych brzmi echo stanowczości, nie dziwny się przeto, iż wobec takiego naskiku wszelkie jego rozumowania musiały runąć. Bywały chwile, że nasz rycerz zamykał oczy na przyszłość, starał się oswoić z myślą zostania w Danii, a nawet wtedy-to postanowienie cieszyło go; uczucie znać uważało chwilę wahania się za dobę tryumfu. Wyraźnie nam w pamiętnikach swych spowiadał się on z tego psychicznego stanu. „Kiedy myśl ta przypadnie, żeby zostać, — czytamy w rzeczonych pamiętnikach, — to jakaś wesołość ogarnie człowieka. — Chwilę zwycięstwa obowiązku opłacał Pasek niemalym bólem wewnętrznym, który zawsze usprawiedliwiał skropułami różnemi...

„Mnie wielką czyniło dystrakcją, — pisał on o tej ciężkiej chwili, — owe affektów zawzięcie... skoro zaś nastąpi myśl, aby nie zostawać, to w człowieku powstaje wzruszenie, żalując affektu owych ludzi i biorąc przed oczy, że wpadnę u nich w podejrzenie o nieszczerłość i niewdzięczność...“

Walka ta krótką być nie mogła, listy przeto, jak Pasek powiada, „latają często ztamtąd i oedmnie“; wchodzą w grę i inne środki; używają krewni Eleonory osób wpływowych w celu skłonięcia Paska do pozostania. Są wskazówki, iż jakiś Duńczyk, „generalny komisarz królewski“, był pośrednikiem stosunków zakochanych i ich rokowań; woził on listy od naszego rycerza do narzeczonej, woził i jakieś „dowody jego pamięci“. Spotykamy wzmiankę w liście Eleonory o jednej takiej wizycie owego pośrednika. „Generalny komisarz królewski, — pisze ona, — wielmożny Ry-chald, przywiózł mi dowody twojej miłości ku mnie“. Te dowody miłości składały się zapewne z upominków, których wartość, a niemniej i jakość, znanemi nam nie są. Wiek ówczesny, wiek XVII, miał ustalone pod tym względem wymagania, dziś wyszłe z użycia, zapomniane. Wśród wyższych sfer towarzyskich w Polsce śpiewano serenady pod oknami ukochanej, posyłało przy listach miłosnych „wieńce i marcypany“. Te ostatnie dary tak dalece u nas, wśród warstw szlacheckich, uważały się za rzecz konieczną, iż tylko ludzie obcego pochodzenia wymówić się od nich mogli. Znać nie przebaczano krajowcom, bądź możniejszym, zabaczania o obyczaju rzeczonym, usprawiedliwiając tylko cudzoziemców, gdy nie

składali „marcypanów“ na swych godowych stołach, albowiem posiadamy nawet przysłowie przestarze, o tem świadczące.

„Obejdzie się wesele tatarskie bez marcypanu“, mówiło to przysłowie, a mówiło bardzo dawno, bo jeszcze w XVI wieku. Za dni Paska obyczaj składania narzeczonej w darze marcypanu istniał w całej swej mocy. Drużba wiozł to słodkie ciasto do ukochanej starającego się i przy mowie, mianej, jak się wyrażano „okrągłemi słowy“, życzył „tyle słodyczy w ciągu dni przyszłego życia ile jej zawierały marcypany...“ W szeregu darów i owych „dowodów miłości“ wędrownego rycerza, jakim był wtedy pan Pasek, wąpimy, by się znajdował marcypan. „Czarniecczyków“ obóz odznaczał się skromnością potrzeb, niemając nic wspólnego z tym osławionym zbytkiem niektórych naszych obozów, jaki w XVII wieku spotykano w oddziałach obozujących pod Pilawcami, Korsuniem lub Żółtymi Wodami, o których-to zbrojnych taborach, odznaczających się przepychem, mówiono podówczas:

...Aż i w obozie, wszystkim nędzy szkole,
Nie inszych wetów ujrzy kto na stole,
Tylko od cukrów i faryny złotej...¹⁾

Czarniecki tego nie znośli; ówczesne słowa „Nie w tych rozkoszach, ani w strojnem ciecie, Polacy starzy dokazali wiele...“²⁾ wciąż mu były obecne, wciąż surowym życiem i siebie i swe szyki zbrojne on hartował, przetrudną tedy rzeczą było dla p. Paska mieć tam „marcypany“. Dary jego pamięci składały się z przedmiotów bardziej licujących z życiem obozowem. Ani czas, ani też miejsce potemu były, żeby się upędzać za rzeczami kosztownymi, lub obyczaj dawny, swojski, przenosić na duńską glebę. Zresztą, nie darów, nie wieńców, nie serenady tam pragnęła owa w miłości wielka a stateczna dziewczewica wód północnych... „Przyjeźdź tylko, pisze ona, nie pragnę nic więcej, tylko Twojej przytomności... oczekuję niecierpliwie...“

Ten przyjazd, którego tak mocno pożądanego, którego oczekiwano „niecierpliwie“, mógłby się stać mieczem rozcinającym węzły przeszkód. Pasek nie jechał, bo, kto wie, czy mógłby się ostać wobec oroku jej słów, jej oczu... Lecz i tu nadeszła chwila słabości; zakochany zawahał się, i rzekłszy: „już teraz jakoby kajdany włożyła na me serce“ — pojechał.

Groza wojny szerzyła się z całą mocą. Rodzice Eleonory mieszkali na jutlandzkim wybrzeżu. Fale morza i szeregi szwedzkie oddziały obozowisko Paska, zatoczone na jednej z duńskich wysp, od rodzicowej siedziby jego przyszłej; podróż więc zarysowywała się w jego umyśle najeżona niebezpieczeństwami. Nie zważa on jednak na niebezpieczeństwa, na przeszkody. Niemasz dlań złej drogi. Śpieszy — i, nieopowiadając się nikomu, opuszcza obóz.

Stary, polski obyczaj wymagał, aby w uroczystych chwilach życia, a wstęp do godów do najbardziej solennych, chwil zaliczano, tak porady w kole rodzinnem, z rodziną, blizkimi, jak niemniej i towarzystwa dziewosłębów i drużbów zasięgano. W sąsiednim posterunku naszych obozów posiadał pan Pasek krewnego i przyjaciela. Był nim Ryłski, który „chorągiew trzymał“ w hufcach Imci pana Kazimierza Piaseczyńskiego, Starosty Ostrołęckiego. Do niego przeto śpieszy Pasek i ze zdziwieniem a niemalą radością spostrzega, iż ów krewniak, Ryłski, znać człowiek doświadczony i wiedzący jak z zakochanymi poczynać, nie sprzeciwia się w niczem jego myśli, owszem, namawia go nawet — chociaż namawianie było zbytecznem — aby jechał do narzeczonej i „nie rzucał okazy“... Zachęta krewnego, człowieka bardziej poważnego, i wiekiem, i urzędem, który sam nawet obiecuje towarzyszyć

zakochanemu w charakterze dziewosłęba, rozwiła chwilowo wszystkie skrupuły.

Jeszcze dni kilka, a zdawało się, marzenia zakochanych zostaną ziszczone. Wszelkie nawoływania do spełnienia obowiązków społecznych, nawoływania wewnętrzznego głosu sumienia narodowego milkły... kryły się w głębiach sumienia. Trwogi, niebezpieczeństwa, zamykające mu drogę — jak sam się wyraża — liczył na „mendle“, wszakże jechał wraz z owym dziewosłębem, Ryłskim. U wód, oddzielających wyspę od lądu Jutlandyi, dowiadują się oni o całym zastępie nieprzyjacielskich hufców, które opanowały pobrzeże jutlandzkie. Wylądowanie stało się niemożliwym. Dwaj z tysiącami walczyć nie mogli: cofnęli się więc. Zapory ze stali i mieczów szwedzkich silniejszymi znać mienili argumentami Ryłski, niżeli to wszystko, co mógłby rzec w tej sprawie wbrew chęciom zakochanego. Zostawał przeto argumentacją więcej działaniem losu i okoliczności, które wistocie nie omieszkały wyrzec swego słowa. Los wojny wtedy właśnie oddawał jutlandzkie pomorze do rąk Szweda, który tam się umacniał, sypał wały i warownie a zbrojno od morza zamykał się. Największy animusz miłosny i siła miecza, bodaj najprzeważniejsza, podolać tu nie mogły, gdy dwóch miało do walkienia z całemi zastępami Szwedów.

Cofnięto się, lecz nie dano za wygraną. Pasek mniemał, że wróg opuści wprędce półwysep, droga przeto do ukochanej stanie otworem; siła uczucia widocznie jeszcze raz brała górę nad rozumą i obowiązkiem. Pamiętnikarz ze zwykłą sobie rubasznnością i prostotą niezrównaną opowiada nam o tem... „A ja — powiada on — postaremu zamierzam, jak Szwedów z tamtego miejsca wykurzą (z Jutlandyi), zaraz jechać...“

Głos trąby bojowej, wzywający nasze wojsko z Danii do Polski, był tu stanowczą przeszkodą do owego jechania ponownego. Tak przynajmniej sam Pasek o tem rozwianiu swych zamiarów powiada, lecz bliższe wpatwienie się w stosunki chwili i usposobienia zakochanego rycerza wskazuje inne pobudki, nie pochodzące właśnie ze zbiegu okoliczności zewnętrznych, niewysnute z sieci zdarzeń i zakłóceń losu, niezależnie od niego oplatających go, ale wprost będące wynikiem walki wewnętrznej...

(Dokończenie nastąpi.)

Korrespondencja zagraniczna.

Lwów w Lipcu 1882 r.

Wycieczka na Czarnohorę. — Przeszkody i niebezpieczeństwa. — Nocleg na plebanii. — Podróż w góry konno. — „Brzydkie Miejsce“. — Dramat w naturze. — Niebezpieczna żegluga. — Obiad o północy. — † Kazimierz hr. Krasicki. — Wystawa Sztuk Pięknych.

Przed kilka dniami powróciło kilkadziesiąt osób z wycieczki do Żabiego i na Czarnohorę, urządzonej przy sposobności Zjazdu Pedagogicznego w Kolumny przez tamtejszy oddział Towarzystwa Tatrzńskiego. Wycieczka ta obfitowała w tak ciekawe epizody, w tak dramatyczne wrażenia, połączone nawet z niebezpieczeństwem życia, że opowieść ich gwałtem nasuwa się pod pióro, chociaż nie wątpię, że publiczność warszawska znajdzie opisy jej bardziej od mego malownicze i zajmujące, bo do wycieczki tej należało także kilku pedagogów i literatów warszawskich, którzy wrażeniami swemi zechcą się zapewne podzielić z czytelnikami. Ja więc tylko parę chwil wybitniejszych tu wspomnę.

We czwartek dnia 20 Lipca, po ukończonych naradach zjazdu pedagogicznego i serdecznem pożegnaniu rozjeżdżających się do domu w różne strony kraju tegoż uczestników, wyruszyło z Kolumny o świcie pod przewodnictwem urządzających wycieczkę prof. Wajgla i Turkawskiego, przy pięknej pogodzie dwadzieścia wozów z wesołym gro-

1) Patrz „Wiersze na pogrom Hetmanów pod Korsuniem“, umieszczone w „Księdze Pam. Michałowskiego“, str. 475.

2) Loco citato.

nem podróżników, liczącem około osmdziesiąt osób, między którymi czterdziestu pań, młodszych i starszych nauczycielek, które, przybywszy na Zjazd Pedagogiczny, nie wahały się podjąć uciążliwej podróży, aby poznać piękność gór pokuckich. Lwowska „Harmonia“ z dwudziestu osób złożona, pięknie uniformowana, w granatowych mundurach a amarantowych czapkach, jadąc z taborem przygrywała ulubione nuty, co podnosiło ducha i ochotę powszechną. Wszystko zdawało się zapowiadać pomyślną wycieczkę, turyści byli w jaknajlepszym humorze; ale że często fatalność i nieprzewidziane zdarzenia mieszają się do spraw naszych i niweczą zamiary ludzkie, przeto i tutaj nie wszystko poszło tak gładko, jak się z początku zdawało.

Do Kosowa podróż wiodła się wybornie. W Kosowie oczekiwano przybyszów przyjęcie suto i serdeczne. Zwiedzano, według programmatu, tujejsze warzelnie soli. Uczta urządzona przez zarząd salinowy przeciągnęła się nad pierwotny zamiar. Dwie orkiestry przygrywały: Harmonia lwowska i miejscowa, salinarna. Nie obeszło się bez toastów. Rozwiązały się usta, rozgrzały serca. Ale ku końcu biesiady, złowrogie pogłoski zaczęły nieco niepokoić nadzieje dalszej podróży. Według programmatu miano stanąć pierwszego dnia na nocleg w Żabiu. Tymczasem na dwa dni przedtem była w tamtej okolicy burza połączona z ulewą, jakiej od wielu lat nie zapamiętano. Przybywający z gór Huculi w przerażający sposób kreslili obraz spustoszenia w górach, sprawiony tą ulewą, zapewniając, że gdy mosty na Czeremoszu zerwane, a cały gościniec gruzem zasypany, nie podobna dostać się do Żabiego wozami, i przedstawiali, że niema innej rady jeno dać za wygraną i wrócić do Kołomyi. Lecz któż kiedy rozstawał się łatwo z nadzieją, z urojeniami i zamiarami raz powziętymi? Tak i nasi podróżni mówić sobie o powrocie nie dali, krzepiąc w sobie odwagę, pewni, że przemogą niebezpieczeństwa. Takim przejęci duchem, gotowi łamać się z przeszkodami, wyruszyli z Kosowa, dążąc do Żabiego.

Podróż szła jakotako, pomimo zepsutej ulewy drogi, biejącej pomiędzy górami i przepaściami, tak ważkim nieraz przesmykiem, że się zaledwo wozy przemknąć mogły. Dopiero gdy przyjechało nad Czeremosz, „szumiący po skale“, jak mówi Korzeniowski, a raczej pomiędzy skałami, stanął cały tabór, nie wiedząc: co dalej począć; czy wracać czy próbować przeprawy? Oczywiście stanęło na drugim, chociaż nurt rzeki, znacznie jeszcze wezbranej, groźnie się przedstawiał. Ale cel podróży zbyt powabnie rysował się w wyobraźni turystów, aby się dali pierwszą odstraszyć przeszkodą. Huculi wzięli panie na barki i bród wyszukawszy, przeniesli je przez wodę; wbród także przeszli mężczyźni; wozy przeciągnięto z wielkim trudem przez wodę, i cały orszak pątniczy, nie tracąc humoru po tej pierwszej nieszkodliwej przygodzie, wesoło dalej wyruszył.

Ale był to dopiero początek. Czeremosz wije się węzłem pomiędzy górami i po kilkakroć przebywać go potrzeba. Po niejakiem czasie znów ujrzano w poprzek drogi wezbrane jego nurty, po zerwaniu mostu swobodnie szumiące i jak koń spieniony rzucające falami po brzegach. Ale w tem miejscu Czeremosz, acz ważkiem płynący korytem, jest tak głęboki, a ma do tego dna tak nierówne, kamieniste, skaliste, iż o przeprawie w bród myśleć było niepodobna. Położenie stawało się przykrem, tem bardziej, że droga, po której jechało górze, była tak wązka, widać się u zbocza góry po nad przepaścią i rzeką, że zawrócić wozów nie było którejdy. Słońce zachodziło — noc ciemna i chłodna zbliżała się, a nie było gdzie przemocować. Zwątpienie zaczęło ogarniać umysły. przed chwilą jeszcze tak obojętne i odważne. Wobec rzeczywistości i zapadającej nocy mierzchnąć zaczęły wszystkie legendy o gór pięknościach. Złożono radę polową. Huculi, znający miejscowość, podają jako jedyny środek ratunku, aby się wprosić na nocleg do proboszcza we wsi pobliskiej, w której obrębie właśnie się znajdowano. Ale ksiądz Okuniewski, proboszcz Jaworowski, grecko-katolicki, nieprzystępny, jak twierdzili ci z podróżnych, którzy o nim dawniej zasłyszeli; z sąsiadami nie żyje, udzielać się nie lubi, przed kilku mie-

siącami żoną stracił; do osieroconego domu w żalobie nie zechce zapewne przyjąć niespodziewanego najazdu; a tak byli wszyscy o tem przekonani, że nikt nawet nie chciał podjąć się uczynienia mu tej propozycji. Ale konieczność wszystko przemaga, najtwardszy orzech rozłtłukuje, jak mówi Niemcy. Wybrano tedy deputacją, która z bólem serca, bez nadziei pomyślnego skutku, udała się na probostwo Jaworskie.

Jakież było zdziwienie, jaka radość powszechna, gdy za powrotem deputacyi dowiedziano się od niej, że ksiądz Okuniewski, nie tylko jej nie ofuknął, jak się spodziewano, ale zaprasza wszystkich otwartem sercem na nocleg, ofiarując z całą gościnnością wszystko, czem chata bogata, na ich przyjęcie! Po takiej wieści rozradowały się serca podróżnych, nie tyle nadzieją wygodnego noclegu, ile tą uprzejmością zacnego kapłana, którego jak widać, niesłusznie posądzano o jakieś stronnicze niechęci i nieuczynność. Nie pozostawało już teraz nic, jeno zawrócić wozy na ważkim przesmyku nad przepaścią stojące. Nie małe to było zadanie, ale raźnie się już i wesoło wzięto do tego. Wyprzężono konie, a Huculi na rękach przeniesli wozy i cały tabór wyruszył ku probostwu.

Tutaj czekał już na przyjęcie gości, u wrót na oścież otwartych, syn gospodarza, słuchacz medycyny na akademii wiedeńskiej, z siostrami w żalobie, po niedawnej stracie matki. Sam ksiądz tymczasem, kończąc ubieranie się na przyjęcie gości, giestem i słowem uprzejmie zapraszał tłoczących się na podwórze i wkrótce wyszedł na przeciw nim, zapraszając, by się rozgościli, jak u siebie, po trudach podróży. W jednej chwili wyrosły, jakby zpod ziemi, zniesione przez czeladź probostwa konewki z kwaśnem i słodkiem mlekiem, miski z masłem, serem i bryndzą, stopy chleba i mamałygi, a podróżni zaczęli się ochoczo pokrzepiać po trudach nużących całodzienną wędrówkę. „Harmonia“ rozłożyła się obozem na ogrodowej polance i zaczęła przygrywać skoczne kołomyjki, których nutę echo górskie po rosie wieczornej szero roznosiło. Usłyszawszy to ludź huculski, zdziwiony, zaczął wyglądać i wychodzić z chat swych, rozrzuconych po górach, i wnet zaludniły się ścieżki górskie ciągnącym z wszystkich stron ku plebanii ludem płci obojej. Wszelkiego wieku Huculi i Huculki, w swych malowniczych oryginalnych strojach, dążyli tam, z kąd się rozlegał odgłos muzyki. Wielu z nich, niebawomych po świecie, po raz pierwszy słyszało liczniejszą kapelę, nieznając przedtem innej muzyki, jak trembitę huculską i tympodobne rodzime tutejsze instrumenta gędzienne. Wkrótce ogród i podwórze plebanii otoczyły gromady ludu, przypatrujące się ciekawie biwakowi podróżnych i przysłuchujące z zachwytem muzyce.

Dla podróżnych przygotowano tymczasem wygodny obozowy nocleg. Izby i szopy zasłano świeżem sianem i okryto kilimkami wyrobu huculskiego, w jaskrawe kolory z miękkiej wełny. Ale gdy goście chcieli usunąć się na spoczynek, gospodarz oznajmił, że bez wieczerzy nikogo nie puści. Kazał upiec dwa barany; ustawiono naprędce stoły i ławki. Na misach wniesiono baranią pieczeń i sos przyprawiony do niej po miejscowemu i kilka mis młodych ziemniaków. Przy serdecznej gościnności i zachęcie gospodarza i jego rodziny, spożyto ochoczo, zakończono herbatą, podziwiając ten ład i gościnność, jak przy dobrych chęciach gospodarza, wszystko szło, jak z płatka; na małej górskiej plebanii jadło i napitek mnożyło się, jak w Kanie Galilejskiej i nikomu niczego nie zabrakło; dla każdego znalazł się i kąsek smaczny i kącik wygodny, chociaż ściany tego domku, w dalekiem od świata ustroniu górskim, zapewne nigdy jeszcze tak licznych nie widziały gości.

Po wieczerzy ksiądz proboszcz zaprosił swych gości na Mszę św., którą na ich intencją odprawił miał nazajutrz o świcie; nim się udano na spoczynek, złożono jeszcze poufną radę, jakim sposobem wywdzięczyć się gościnnemu gospodarzowi za jego serdeczne przyjęcie, i jakiby mu ofiarować w tym celu składkowe upominek. Rozmaite były zdania i propozycje, ale ostatecznie zgodzono się na to, aby zebrać naprędce składkę i fundusz zebrany ofiarować na cerkiew miejscową. Jakoż

złożono małą sumkę, odpowiednią podróżnym zasobom pedagogów, i wybrano deputacją, na czele której dyrektorka szkoły wydziałowej Tarnopolskiej p. Julia Selingerowa miała nazajutrz złożyć w ręce proboszcza zebraną składkę. Niemale to jednak było zadanie, aby się zeń wywiązać bez urażenia delikatności gospodarza. Zrazu ksiądz Okuniewski nie chciał przyjąć ofiary.

— Cerkiew moja — odrzekł deputacyi — jest dzieki Bogu tak zaopatrzona, iż ofiar nie potrzebuje...

Po przedstawieniu wszakże ze strony deputacyi, jak boleśnie byłoby gościom oddalić się z miejsca, z którego tak miłe odnoszą wrażenia, bez pozostawienia chociażby drobnej pobytu swego pamiątki.

— Dobrze więc, zgadzam się — odrzekł. — Oddawna życzyłem sobie sprawić srebrny kielich do mojej cerkiewki i miałem zamiar wezwać w tym celu do składki moich parafian. Przyjmuję więc na ten cel złożone przez was pieniądze. Z własnej kieszeni dodam, co braknie do sprawienia kielicha, a wam, mili goście, z całego serca, za waszą ofiarnąść dziękując; jedną tylko z mej strony stawiam prośbę, abyscie sami ułożyli napis, mający się znajdować na kielichu. Ja człowiek niebardzo wykształcony, wy zaś ludzie uczeni; widzę pomiędzy wami literatów, ludzi pióra, piękną polszczyzną władających. Ułóżcie zatem, proszę, napis pamiątkowy, który w obu naszych językach na kielichu umieścić każę, a jeżeli kiedy kto z was lub waszych znajomych odwiedzi jeszcze te góry, proszę niech wstąpi na probostwo i do cerkiewki mojej — niech obaczy kielich i napis odczyta.

Ułożono zatem natychmiast napis pamiątkowy stosowny — wysłuchano uroczystego nabożeństwa i zaczęto szykować się do drogi.

Przed odjazdem proboszcz uczęstował podróżnych kawą; a że już wczoraj spożyto wszystkie zapasy chleba, znajdujące się na probostwie, a nawet z całego Jaworowa zarekwirowane przez księdza Okuniewskiego, przeto służyła do kawy zamiast chleba mamałyga, smakująca tym razem jak preszburskie sucharki. Po ulewie a wielu serdecznych pożegnaniach z gościnnym gospodarzem, podróżni, rozdzieleni na dwa obozy, ruszyli w drogę w dwie przeciwne strony. Trzydziestu mężczyzn, co się czuli na siłach odbycia podróży w góry konno, wyruszyło pod przewodnictwem profesora Wajgla ku Żabiu i dalej na szczyty Czarnohory. Tabór zaś wozów z kobietami, muzyką i mniej odważnymi maruderami, niemającymi odwagi po przebytem doświadczeniu, puszczać się na dalszą awanturniczą wycieczkę, powrócił pod wodzą p. Turkawskiego, na Kutę, do Kołomyi.

Podróż z Jaworowa na Czarnohorę, owego konnego hufca trzydziestu ochoczych śmiółków, trwała całych pięć dni; była to już nie wycieczka spacerowa, ale raczej kampania, w ciągu której odbywać musiano ciągłą walkę z przeszkodami, a nawet gźdzeniędzie z niebezpieczeństwem życia. Jadąc po 8—10 godzin bez przerwy konno dziennie, ujechało ogółem mil dwadzieścia — ale jakiej drogi!

Ulewa, o której wspomniałem, powyżej zniosła ze szczętem, prawie wyborny niegdys gościniec z Jaworowa do Żabiego. Ani śladu po nim. Natomiast piętrzą się rumowiska bezładnie nagromadzonych głazów i skał odłamy, po których zaledwo konno i t. huculskimi konikami, znanymi ze swej roztropności i siły, a przyzwyczajonemi do tego rodzaju podróży, przedostać się było można. Inny koń sto razy połamałby nogi, a jeźdźca w przepaść pograżył.

Pierwszego dnia zdołano ujechać zaledwo trzy mile drogi, karkołomnym wąwozem rozłukanego Waratynu, na nocleg do Żabiego.

Drugiego dnia dojechano do pierwszego schroniska, pod szczytem Czarnohory, tak zwanemi Szpiciami (wierzchołkami) przez kołomyjski oddział Towarzystwa Tatrzańkiego, tutaj postawionego. Dnia tego potrzeba się było pięć na górę na kilka tysięcy stóp nad powierzchnią morza, pionowo prawie się wznosząc. Pieszko niemal nie podobna byłoby się tutaj wydrapać, komuś nienawykłemu do tego rodzaju podróży. Poczem huculskie koniki wyniosły podróżnych na szczyt góry, prawie bez umęczenia, nie zadyszawszy się na-

wet. Podziwienia godna jest wytrwałość tych koni. Szkoda, że rasa ta psuje się i niszczy, tak, iż coraz mniej jest tych koników krępych a krzepkich, odznaczających się oryginalnymi przymiotaми, mającymi wiele podobieństwa z krwią koni arabskich. Rasa ta, jeżeli się nią nikt umiejętnie nie zajmie, wkrótce może zupełnie zagać.

Trzeciego dnia, po noclegu w schronisku, dotarli podróżni, bez przerwy konno, na *Szpice*, ztamtąd grzbietem Czarnohory popod *Howorle*, *Siodło Dobosza*, *Pohane misce* (brzydkie miejsce) do *Popa Iwana* najwyższego szczytu Czarnohory, 6300 stóp nad powierzchnię morza się wznoszącego. Dłaczego *Pohane misce* tę nazwę nosi? trudno odgadnąć, rozglądawszy się po całej tu przyrodzie. Powabniejszego, piękniejszego miejsca trudno sobie wyobrazić. Przepyszna flora górską ustroiła je najśliczniejszym kwieciami. Rosną tu, jakby różnobarwne tworząc kobierce, pełne barw rozmaitości precudne niezapominajki, rododendrony, mchy islandzkie i inne górskie kwiaty. Ztąd aż do *Popa Iwana* deszcz lekki kropił. Tam podróżni dziwny, uroczy w swoim rodzaju mieli widok. Z lewej strony góry galicyjskie lśniły w blasku słonecznym najpiękniejszą pogodą. Po prawej szalała burza z grzmotami nad górami węgierskimi, pokrywając je dosłownie ciemną nocą. Kawalkata podróżna jechała pasem jakoby neutralnym, bez słońca i burzy, zasepionym od deszczu. Uroczy odbywa się dramat w górach, nim deszcz nadejdzie. Najpierw sunie widomie chmura w postaci mgły, niby forpoczta i otula wokoło podróżnego, a gdy deszcz nastanie, z głębi parowów wznoszą się śnieżyste obłoki. Widok przepyszny; i warto przemoknąć trochę, aby te cuda natury obaczyć.

Od szczytu Iwana wypadło po stromym nadzwyczaj spadku w pośród gładów, gdzie miejscami zaledwie na stopę ziemi, i to rozmokłej, zachwycić można było, spuszczać się kilka tysięcy stóp na dół. Drogę tę odbywano pieszo, prowadząc konie za sobą. Przeprawa nużąca i niebezpieczna. Szło się zygżakiem po stromych ścieżynach, często utykając. Potrzeba było myśleć, nie tylko o sobie, ale i o koniu, prowadzonym za uzdę. Wszyscy, bardzo znużeni, dotarli wieczorem do drugiego schroniska.

Czwartego dnia, po trzynastogodzinnej podróży, wypocząwszy nad jeziorem Szybennem, gdzie odbył się popas i kąpiel orzeźwiająca, po powtórnej znów kąpeli nad wieczorem w Czeremoszu, przybyła podróżna kawalkata przez Załucze o godzinie dziewiątej wieczorem szczęśliwie z powrotem do Żabiego.

Nie tu wszakże koniec przygód. Dzień piąty wędrówki tej był, jak się okazało, najniebezpieczniejszy i mało co brakło, iżby się bez strasznego nie obyło nieszczęścia. Postanowiono bowiem w programacie wycieczki, aby z Żabiego do Kut wracać na tratwach Czeremoszem. Przeprawa to zawsze dosyć niebezpieczna z powodu skalistego dna Czeremoszu, tak, iż tratwy nie dosyć zręcznie kierowane łatwo mogą się rozbić o podwodne kamienie, lub osiaść na mieliźnie, tem niebezpieczniejszą była tym razem z tego powodu, że sute przyjęcie w Krzyworówni u pp. P. opóźniło wyjazd podróżnych, tak, iż najniebezpieczniejsze miejsca, mianowicie *Skaly Sokolskie*, przebywać musieli ciemną już nocą. Tratew było trzy, na każdej po dziesięciu turystów i dwóch przewoźników. Tratwy było przesuwają się po salach Czeremoszu, wzdłuż malowniczych jego brzegów a towarzystwo było ożywione i wesołe. Ale prąd coraz silniej unosił tratwy. Już od Uścierka za nadto wiele zaczęło przybierać wody i tu dopiero zaczęto żałować, iż nie wzięto więcej przewoźników do hamowania tratw, poddających się prądowi fal. Noc była ciemna. Nagle pierwsza tratwa, porwana falą, uderzyła o wystającą z pod wody skałę i utknęła na niej. Przerazenie podróżnych było wielkie. Wszelkie usiłowania wydobywania tratwy z tego położenia rozpaczliwego były daremne, a tu druga nadpływała tratwa: obawiano się więc, że gdy o siebie uderzą, rozbiją się obie i cała załoga pójdzie pod wodę. Zrzucono coprędzej burki z ramion i każdy się gotował w razie wypadku wplaw życie ratować. Jakoż

wnet nastąpiło spodziewane uderzenie, ale skutek był przeciwny, albowiem to, co miało zgubić, uratowało pierwszą tratwę. Gwałtownym uderzeniem popchnięta ze skały, na której zawisała, zanurzyła się na chwilę pod wodę i swobodnie ku zdziwieniu i uciesze przemoczonych do nitki podróżnych lekko i bez żadnej już przeszkody popłynęła do Kut. Za to druga tratwa, wybawicielka pierwszej, ciężkiego doznała losu, albowiem w miejsce tamtej, oswobodzonej, sama uwiła na skałę, ale jednym tylko kłajem, tak nieszczęśliwie, iż większa połowa tratwy, łukiem wygięta, w wodzie pozostała zanurzona. Trzecia tylko tratwa przebyła szczęśliwie Skały Sokolskie, czy większą sterowników zręcznością, czy wypadkiem, nie zoczywszy z wąskiego przesmyku, którego płynął właściwy nurt rzeki. Druga tratwa dopiero po kilku godzinach ciężkiej pracy zdołała się także na pełną wyostać wodę i zdążyć za swymi towarzyszami do Kut, gdzie spożyto o północy obiad, przygotowany na przyjęcie gości, którzy mieli tu przybyć, nie w nocy, lecz kilkanaście godzin wcześniej, w południe, i po wygodnym noclegu w Kasyńskiem, na który wszakże mało czasu zostawało, wyruszone do Kołomyi, rozpamiętując przebyte przygody i niebezpieczeństwa, połączone z tylą uroczych i silnych wrażeń, które się nigdy w życiu nie zapomną.

(Dokończenie nastąpi)

NOWINY PARYZKIE.

Paryż, w Sierpniu 1882 r.

Jesteśmy w samej pełni *martwego sezonu!* Wszystko, co ma pieniądze, co potrafiło je zdobyć *per fas et per nefas*, wyniosło się lub wynosi z Paryża; gdzie kto może dalej, czy bliżej, byle za miasto. Postawione naprędce ministerium, rozpuściło Izby. Jednym słowem waszemu kronikarzowi pozostało chyba wcisnąć się do dusznej, cuchnącej Izby przysięgłych w Wersalu, gdzie się odbywa sprawa kryminalna niejakiego Fenayrou'a, aptekarza, który, w spółce z bratem i z żoną, zamordował kochankę cnej swojej połowicy.

Ale, jak widzicie z samego tytułu tej sprawy, rzecz to nie dla *Bluszczu*, a chociaż tutejsze dzienniki bez wyjątku tem tylko dziś zapełniają swe szpalty, my zostawimy te brudy na stronie i poszukamy stosowniejszej strawy, z którąbyśmy wystąpić mogli na wasze spotkanie.

Jest jeszcze nowy związek *Niepodległych kobiet*, pod dyrekcją znanej Ludwiki Michel, albo, jak ją tu zwykle nazywają w poufnych kółkach, „Ludwiki“ (Louise). Ale w tej „Niepodległości“ chodzi o tak dziwne i niesłychane fakta, iż te nigdzie na świecie prócz Paryża nie mogłyby być wniesione na publiczną mównicę przed zgromadzenie niewiast. I to więc musimy usunąć na stronę!

Wypadkiem dostał mi się w ręce gruby manuskrypt dotyczący się wojskowych urządzeń i wojskowej administracji w Turcji od najdawniejszych czasów do dzisiaj. Jestto praca jednego z najzdolniejszych officerów wojska francuzkiego; udzielono mi jej do sprawdzenia: czy wyrażenia techniczne tureckie są przepisane dokładnie po francuzku. Kilka rozdziałów tej książki poświęconych jest Egypciowi. Zdało mi się, że to będzie na czasie dać poznać czytelnikom naszym w streżeniu to, co się tyczy kraju, który jest w tej chwili głównym punktem zajęcia publicznego w całej Europie. Otrzymałszy łaskawe pozwolenie autora, daję wam następującą kartkę z historii Wschodu.

Sumienny autor zaraz na wstępie do dzieła uprzedza nas, że kiedy idzie o przedstawienie wojskowej organizacji na Wschodzie, nie można tu wymagać ani tej ścisłości, ani tego porządnego rozwoju, jaki znajdujemy w organizacji wojskowej państw europejskich. Na wschodzie, powiada, ogłoszenia peryodyczne i porządne dokumen-

tów urzędowych dotyczących się administracji wewnętrznej i przepisów porządku, nie istnieją wcale, ani w Konstantynopolu ani w Kairze. Musiał więc autor z wielkim i ciężkim trudem zbierać te wiadomości w dziełach dotyczących statystyki i historii i w opisach specjalnych ludzi wojskowych, którzy zwiedzali te kraje w celu właśnie zbadania ich wojskowej potęgi. Po tem zastrzeżeniu, autor tak mówi o Egipcie:

Początek dzisiejszej siły zbrojnej egipskiej należy odnieść do epoki zawojowania Egiptu przez sułtanów otomańskich, to jest do 1517 r. naszej ery. W pierwszym, początkowym urzędowaniu, ustanowionem przez sułtana Selima I, przed powrotem do Turcji i aż do czasów powstania Mehmeta Alego, głównym żywiołem wojskowości w Egipcie byli tak zwani Mamelucy.

Zaczawszy od panowania Mehmeta Alego i jako proste następstwo głębokiego wstrząśnienia, jakie geniusz Napoleona I-go wywarł na stary, zgrzybiały świat arabski, budząc go nagle z wiekowego uspienia, widzimy występujący na scenę żywioł europejski, a mówiąc ściślej, przeważnie francuzki; widzimy go otaczającego ciągle osobę panującego, zajmującego wyższe stanowiska i posady w wyższych zakładach naukowych i technicznych, ale wszakże niedopuszczonego do głównej i bezpośredniej wojskowej komendy. Była to i jest dotąd zasada turecka, aby oddawać wyższe stopnie wojskowe jedynie tylko Muzułmanom z północy, to jest Turkom, Czerkiesom, Tatarom, lub wyjątkowo poturczonej rai, z zupełnym prawie usunięciem na stronę elementu czysto-krajowego, egipskiego.

Takie są dwie epoki główne siły zbrojnej; zamykają one w sobie ogromny peryod prawie czterech stuleci historii egipskiej i wystarczają dostatecznie do wyjaśnienia dokładnie wypadków, które wywarły wpływ na dzisiejszy stan rzeczy w Egipcie.

Tutaj więc musimy wejść w bliższe szczegóły i dać czytelnikom naszym jasne wyobrażenie o tem: czem była siła zbrojna egipska do 1 Marca 1811 roku, do daty ostatecznego wytopienia Mameluków, i czem się stała pod panowaniem dyna ty Mehmeta Alego, zagorzałego zwolennika Napoleona i jego nasładowcy w wielkim dziele reorganizacji Egiptu.

Łatwo jest wytlómaczyć i zrozumieć: czem była w Egipcie potęga i żywotność Mameluków, jeżeli przypomnimy sobie, że ci cudzoziemcy dali swej przybranej ojczyźnie dwie dynastie panujących sułtanów i że nawet zwycięzca ich, Selim I, musiał wydzielić im część pewną władzy, najważniejszą może w swoim systemacie wszechwładnego panowania.

Mamelucy byli to Turkomani, to jest rodowicy Turcy. Uciekając przed straszną nawałą Tatarów, prowadzonych przez Batu-Chana, mieszkańcy krajów sąsiednich Morza Kaspijskiego i Kaukazu, wyparci ze swych siedlisk, rzucili się do ucieczki. Dziś trudno jest wystawić sobie, czem był ten popłoch i to ruszenie się ludów. Rozpierzchłe pokolenia przed grozą nawałnicy uciekały we wszystkie strony. Biada tym, którzy się opóźnili w biegu! Żelazo mongolskie bez miłosierdzia tępiło uciekających, albo zabierało ich w jasyr. Kupecy ludzkim towarem zbiegali się ze wszystkich stron Wschodu na to wezwanie zwycięzców, zasilających bez końca i miary to targowisko ludzkie i zaprowadzali na kończyń południowej Azji za bezcen zdobyte towary. A byli to niewolnicy wybrani, silni, zdrowi, mocni, piękni — bo słabsi, gatunek podlejszy, mordowali Tatarzy bez litości i względu.

Wszystkie książątka Azji korzystali z tej sposobności, i sułtanowie egipscy utworzyli sobie w ten sposób osobną, wyborową gwardyę pod nazwiskiem Mameluków, złożoną z owych jedноплемиennych z nimi Turkomanów. Podzieleni na kilka oddziałów, Mamelucy każdej odrębnej klasy różnili się odrębnymi znakami wyszytymi na szatach, albo wyrzniętymi na zbroi. Znaki te przedstawiały, rzecz dziwna, już-to kwiat róży, już-to ptaki albo gryfy, jakby tradycje starożytnej Persyi. Różne oddziały odróżniały się jeszcze różnaitą barwą proporców. W krótkim bardzo

czasie ci silni, czynni i ruchliwi przybysze zagarnęli wszystkie urzędy w kraju. Byli oni liczni, dobrze uzbrojeni i niezdolni do ulegania nikomu, nawet panującemu z własnego ich wyboru...

Największa część tych Mameluków osiedliła się w obronnej dzielnicy Kairu, położonej na południowym wybrzeżu wyspy Nilowej, nazwanej *Rudah*, około przedmieścia Mekya, i wzdłuż wschodniego pobrzeża Nilu. A że Nil ze względu na swoją szerokość nosi nazwę arabską w Egipcie „El Bahr“, co znaczy właściwie *morze*, stądto poszło i nazwisko *Bahrytów*, pod którym znana jest pierwsza Dynastia Mameluków.

Druga dynastia, znana pod nazwą Mameluków czerkieskich, albo Burdżytów, wzięła tę nazwę od arabskiego słowa *Burdż* albo *Bordż*, znaczącego *Wieżę strażniczą*, albo właściwie *Zamek*. Nazwa ta zresztą przypomina fakt, że za czasów panowania Bahrytów im właśnie była powierzona wyłączenie straż i obrona zamków.

Pierwsza dynastia Mameluków panowała w Egipcie sto trzydzieści kilka lat, w przybliżeniu od 1250—1382 r. naszej ery, druga również sto trzydzieści kilka, 1382—1517 r. Podczas tych trzech prawie wieków panowania Mameluków, Egipt co do wewnętrznego swego urządzenia poddany podlegał jednej i tejżesamej burzliwej i niesfornej polityce feodalnej potężnych wasalów. Zawsze tam był zwierzchni panujący sułtan, ale władzy jego opierali się ciągle niespokojni emirowie, posiadający większą część urzędów; występowali oni wbrew jej rozkazom niekiedy nawet otwarcie z bronią w ręku, dla poparcia swoich wymagań i nie uznawali nad sobą innego prawa, oprócz prawa mocniejszego. Rozpatrując się jednak w historii Egiptu z owych czasów, nie podobna zaprzeczyć, jak ważne dowody niezmiernie zdolności rządzenia dali nieraz ci improwizowani despoti. I tak widzimy jednych, którzy, dorwawszy się najwyższej władzy za pomocą zbrodniczych i okrutnych zamachów, panowali z mądrą i łaskawą sprawiedliwością dla ludu, przez długie lata — drugich, wznoszących bogoboje i dobroczynne zakłady, pozostałe jako wzór miłosierdzia i wytwornego smaku w budowie aż dotąd, i to wśród najgwałtowniejszych politycznych przewrotów. A prawie wszyscy ci biegli politycy i wojownicy pierwszorzędni zyskali sobie niezatartą chwałę tak w rokowaniach o pokój, jak w nieustannych bojach z Krzyżakami, Tatarami i Turkami.

Podbicie Egiptu przez sułtanów tureckich (w 923 roku Hedżyry), zaznacza bardziej najwyższy szczybel potęgi, do jakiej się podniosła Turcja, niż epokę upadku i rozprzężenia Egiptu. Kraj ten staje się wprawdzie jednym z paszalików państwa Otomańskiego, ale Selim, lękając się, aby oddalenie zbyt wielkie podbitego kraju nie zachęciło czasem paszy mianowanemu na to wielkorządtwo do przywłaszczenia sobie najwyższej i niezależnej władzy, starał się tak zrównoważyć osobiste wpływy swego namiestnika za pomocą podziału władzy politycznej i wojskowej pomiędzy innych urzędników mianowanych wprost przez samego sułtana, że podobny wypadek stawał się w istocie niemożliwym. Chciał on i dokonał tego, aby te trzy władze strzegły się i pilnowały wzajemnie, i wzajemnie się równoważyły.

Pasza miał powierzone sobie ogłaszanie ludowi wszystkich rozkazów sułtana, jak równie wszelkiej zwierzchności w kraju, i nad ich wykonaniem obowiązany był czuwać.

Egipt podzielony został na dwanaście wojskowych okręgów nazwanych *sandżakły*, poddanych rozkazom dwunastu bejów mianowanych przez dywan (t. j. radę państwa) i wybranych z pomiędzy Emirów i Mameluków, którzy się poddali władzy sułtańskiej.

Sześć tysięcy jazdy i sześć tysięcy pieszych strzelców zostawiono na załogę w Kairze i w przedniejszych zamkach Egiptu, ale nie oddano ich wcale pod władzę paszy. Dowództwo nad tem wojskiem, podzielonem na sześć *odżaków* czyli korpusów, powierzone zostało jednemu z wyższych generałów tureckich i sułtan wyznaczył mu na rezydencją cytadelę w Kairze, ale z wyraźnem wzbronieniem opuszczania jej choćby na chwilę.

Każdy z sześciu odżaków był pod rozkazami

swojego *agi*, któremu dodani byli jako officerowie głównego sztabu: *Kjaja* (podpułkownik) *Baszech-tyar* (starszy dziekan), *Defterdar* (pisarz), *Chaznedar* (płatnik, czyli podskarbi) i *Ruznamdży* (kontroler-archiwista).

Ci naczelnicy odżaków, zebrani w dywan, to jest w radę, byli radcami paszy, który nie mógł nie począć bez ich zgodzenia się. Mieli oni prawo zawieszania jego rozkazów; odwoływania się do rady najwyższej w Carogrodzie, a nawet żądania aby złożono paszę z urzędu, gdyby był podejrzany o zdradę przeciw sułtanowi.

Co się tyczy Emirów, dawnych naczelników Mameluków, im powierzone zostało utrzymanie zgody i równowagi pomiędzy odżakami i paszą. Samo ich pochodzenie czyniło już z nich nieublaganych wrogów jednych i drugich, a ich polityczne interesa musiały ich ciągle popychać do użycia całej wagi ich wpływu na stronę słabszego, aby przeszkodzić nadużyciom przemocy silniejszego.

Tego rodzaju systemat rządowy musiał koniecznie wywołać liczne i gwałtowne starcia, od których naród musiał często ponosić niemałe szkody; ale Porta widziała właśnie w tych niedogodnościach najpewniejszą rękojmię utrzymania swego zwierzchnictwa.

Oprócz innych urzędów zaprowadzonych ze względu na wymagania polityki i administracji, Soliman I uzupełnił organizacją wojskową, ustanowioną przez ojca jego, Selima I, tworząc około 926 roku Hedżyry, siódmy odżak, złożony z dawnych Mameluków, którzy wykonali przysięgę wierności sułtanom.

Jednym słowem władza podzieloną została pomiędzy: baszę, bejów, przełożonych nad okręgami wojskowymi, i naczelników siedmiu korpusów wojska. W rządzie element wojskowy przemagał, a w tym ostatnim prym trzymali Mamelucy, którzy z powodu samego swego pochodzenia wkrótce zawładnęli wszystkim. Naczelnik okręgowych bejów, którego nazywano *Szejeh-el-beled*, był prawdziwym panującym w kraju. Co zaś do tureckich paszów, zamkniętych w zamku w Kairze, zdawało się, iż oni na to jedynie byli przysłani, aby patrzeć w milczeniu na straszliwą walkę żywiołów rodzimych, której Egipt stał się od-tąd smutną widownią.

(Dokończenie nastąpi)

KLEFT

KOMEDYA W JEDNYM AKCIE

przez

Abrahama Dreyfuss

przekład z francuzkiego M. Kostrowickiej.

(Dalszy ciąg).

Scena IX.

Henryk.—Amelia.—Filip później Klara

Filip (*przybiega na ten hałas*)

Co to jest?

Henryk (*mocno poruszony*)

Przychodź, przyjacielu... przychodź!... I ja mam mego Klefta!

Filip

Co?

Henryk

Tylko mój Kleft,—to kramarz!

Filip

Kramarz?....

Henryk

No, wiesz, ta historia, którą mi opowiadałeś.....

Filip

Ta historia taka zabawna!

Henryk

Pani ją chciała wiedzieć koniecznie... Oto jest ciekawość dewotek.

Amelia (*drgnąwszy*)

Dewotek!

Henryk

Strzeż się dewotek, mój kochany; one-to waśnią małżeństwa.

Amelia (*dusząc się z gniewu*)

Och! (*rzucą się ku prawej stronie, wołając*) Klaro! Klaro!

Filip (*do Henryka*)

Wytłomacz-że mi....

Amelia (*wołając*)

Klaro!

Klara (*wchodzi z pośpiechem*)

Co się stało, na Boga!

Amelia

To się stało, że mój mąż, psuje twego męża!

Henryk (*do Filipa*)

Słyszysz?

Filip (*do Amelii*)

Ależ, kuzynko....

Amelia

Ten pan nazywa mnie dewotką!... On! dawny kwestarz parafialnego bractwa!

Henryk (*żywo do Filipa*)

Nie wierz!

Amelia (*z przyćmieniem*)

Kwestarz! A dziś mieniący się wolnomyślnym!

Henryk

Bezwątpienia.... wolnomyślnym! (*wyzywając*) Ateuszem na wet! Tak, jestem ateuszem!

Klara

Och, kuzynku!...

Amelia

Daj pokój! On nie pojmuje znaczenia tego wyrazu!

Henryk (*wściekły*)

Nie pojmuje znaczenia tego wyrazu!

Amelia

Powiedziano mu, że to teraz taka moda.... i to mu wystarczyło. Zdaje mu się, że w ten sposób dobry ton sobie nada....

Henryk (z politowaniem)

Marna kobieca istota!... ciasny umysł!

Amelia

Przynajmniej mój umysł trzyma się stale je-
dnych pojęć; ja przekonani nie zmieniam.

Henryk

Tem gorzej.

Amelia

I pozostaję wierną zasadom mego rodu...

Henryk (do Filipa)

Och! ród... dwóch starych inwalidów!

Amelia (z wściekłością)

Uczciwi od ciebie ci starzy inwalidzi! Nie sta-
li się odstępami wiary, odstępami zasad... od-
stępami miłości.

Henryk (śmiejąc się)

Ach! odstępami miłości!

Filip (z cicha)

Ależ, Henryku.

Henryk

Już co z tego odstępstwa to szczyć się tylko
mogę! (do Amelii) Jeżeli ty sobie wyobrażasz, że
wzbudzasz jeszcze we mnie miłość...

Amelia

Bądź spokojnym! Nie próbowałabym nawet!
Znam cię zbyt dobrze... ty, niedołego!

Henryk

Co powiedziałaś?

Amelia

Powiedziałam: niedołego! Bo jesteś niedołągą...

Henryk (groźnie)

Powtórz raz jeszcze!

Amelia (zbliża się i patrzy mn prosto w twarz)

Tak... tak... niedołego! Jesteś niedołągą! (przez
cały ciąg tej sceny Filip i Klara stoją pomiędzy Ame-
lią i Henrykiem, usiłując ich rozdzielić).

Filip (odciąga Henryka)

Uspokój się... proszę cię.

Klara (do Amelii)

Kuzynko, ależ kuzynko...

Henryk (do Filipa)

Widzisz, powtarza się historia Klefta!...

Filip

W takim razie, żałuję cię!

Amelia (do siebie, śmiejąc się nerwowo)

Ateusz!... On!... Henryk Grabernau... ateusz!
Ha! ha! ha!

Klara (do Amelii, łagodząc)

Dajże pokój! Czy i wy pogniewacie się także?
Wy, tak zgodne małżeństwo... po jedenastu latach
pożycia!...

Henryk (krzyżąc)

Szesnaście!... już jest szesnaście! Powiedziała
jedenaście, żeby się młodą wydać... (ciszej) stara
kobietka!

Amelia

Stara kobietka!... (rzuca się ku Henrykowi) Po-
wiedziałaś: „Stara kobietka?”

Henryk (przytrzymywany przez Filipa)

Tak... powiedziałem i powtarzam: — Stara ko-
kietka!

Filip

No! no! Henryku!...

Amelia (dramatycznie)

Panie de Larians, pan mnie pozwalasz zniewa-
żać w swoim domu?

Filip

Żałuję niezmiernie...

Amelia

Żegnam!

Klara (idąc za nią)

Ależ, kuzynko...

Amelia

Żegnam! (szybko wychodzi).

Scena X.

Filip.—Henryk.—Klara.

Henryk

Nie zatrzymuj jej! Niech sobie idzie w swoją
stronę!... ja także pójdę w swoją.

Filip

Waryat jesteś!

Henryk

Waryat! Dobrze ci mówić, ty, co chciałeś opu-
ścić żonę za daleko mniejszą rzecz!

Klara (wzruszona)

Chciał mnie opuścić!

Henryk

Z pewnością.

Filip

Przepraszam! ja...

Henryk

Pod pozorem, iż życie wasze stało się w najwyż-
szym stopniu nieznośnym, i że lepiej odrazu z niem

skończyć; gdybym go był nie powstrzymał, byłby
się rzucił w studnię!

Filip

Nie mówiłem...

Henryk

Tak, chciał się rzucić w studnię!

Klara (z boleścią)

Czy być może!

Filip (do Klary)

Nie wiesz!...

Henryk

Ale wy się pogodzicie, jeżeli nie pogodziliście
się jeszcze... gdy tymczasem moja żona i ja roz-
staliśmy się nazawsze!

Filip i Klara (razem)

Cóż znowu!

Henryk

Na zawsze, bo my nie możemy mieć tych sposo-
bności zbliżenia się, które wyradzają się tak szybko,
przy takich jak wasze serca... wy jesteście mło-
dzi, wstępujecie dopiero w życie i gniewacie się
dlatego, aby się na zgodę serdeczniej uściskać...
(z gorczyzą) ale ja pieszczot nie znam.

Filip i Klara

Och!

Henryk

Przynajmniej... ona to mówi!

Filip

Ale dla takiej drobnostki...

Henryk (unosząc się)

Drobnostka... Być nazwanym niedołągą!... ty
to nazywasz drobnostką.

Filip

Ależ, przyjacielu!

Henryk

Drobnostka! (idzie włąb' sceny, mrucząc) Niedo-
łąga... to drobnostka!

Filip (idąc za nim)

Uspokój się, Henryku!

Klara

Kuzynie!

Henryk

Dajcie mi pokój! (wybiega).

(Dokończenie nastąpi).

Do dzisiejszego numeru *Bluszu* dołącza się ar-
kusz 3-ci nowelli pod tyt.: **Utalentowana matka.**

TREŚĆ. Zjazd pedagogiczny w Kołomyi.—Bezwiadna miłość, nowella, (dokończenie), przez Stan. Korczak.—Miłość wieków ubiegłych, studyum,
(dalszy ciąg), przez Maryana Dubieckiego.—Korrespondencya zagraniczna, (Lwów).—Nowiny paryzkie.—Klept, komedia, (dalszy ciąg), przez
Dreyfuss'a.

Warszawa.—Druk S. Orgelbranda Synów ulica Bednarska Nr 20.

Redaktor odpowiedzialny Michał Glücksberg.

Дозволено Цензурою.
Варшава, 11 Августа 1882 года.